

MIECZYŚŁAW MICHAŁOWICZ

Dziewiąty dzień rozprawy, 3 stycznia 1947 r.

(Po przerwie)

Przewodniczący: Wznawiam posiedzenie. Proszę wezwać wszystkich świadków jeszcze niezaprzyiężonych.

Zgłaszają się świadkowie: Janusz Machnicki, Jankiel Wiernik, dr mjr Władysław Mazurek, inż. Jerzy Kawecki, prof. Mieczysław Michałowicz, prof. Władysław Szenajch, dr Mikołaj Łącki, Konrad Okólski. Następuje pouczenie świadków oraz zaprzysiężenie.

Pozostaje na sali świadek, prof. Mieczysław Michałowicz, lat 70, zamieszkały w Warszawie przy ul. Litewskiej 16, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, lekarz, dla stron obcy.

Przewodniczący: Proszę przedstawić Trybunałowi, co panu wiadomo w tej sprawie.

Świadek: Żeby uporządkować swoje zeznania, będę mówił, pod jakim kątem je skonstruuję, a więc pod kątem widzenia lekarza, który działał w czasie okupacji i pod kątem widzenia profesora.

Jeżeli chodzi o stosunek lekarski – to był on ciężki z punktu widzenia niemożności wykonywania swego zawodu, jak i trzymania tego sztandaru, który musimy nosić my, lekarze, to jest nauczania przyszłych lekarzy.

Jestem kierownikiem Kliniki Dziecięcej Uniwersytetu Warszawskiego od dwudziestu pięciu lat. Pierwsze, z czym spotkaliśmy się na terenie szpitali, to było oświadczenie dr. Schrempfa, że wszelka nauka jest zakazana i, jak się wyraził, może nieco przesadnie, karana śmiercią. A zatem żadnych naukowych posiedzeń: Jeżeli złapię jakiegokolwiek naukowe posiedzenie, to będę strzelał. Myśmy jednak nie przerywali tych posiedzeń, prowadziliśmy je dalej, tylko na stole leżały karty szpitalne, iż była to konferencja czysto administracyjna i lekarska w sprawach chorych. W ten sposób przetrzymaliśmy ten okres. Ma się rozumieć, że o jakiegokolwiek prenumeracie pism i utrzymywaniu związku z nauką polską i światową nie mogło być mowy. Tak samo zakazano nam pouczania młodych lekarzy i personelu, który się

składał z medyków czy medyczek. Dr Schrenpf przy wizytacji żądał przedstawienia sobie za każdym razem składu personalnego szpitala na piśmie i każdego, kogo spotkał na korytarzu, legitymował. Jeżeli zdarzyło się, iż spotkał kogoś, niebędącego na etacie płatnym, to groził wielką odpowiedzialnością.

W ten sposób to, co się nazywa rozwijaniem myśli naukowej, gdybyśmy się tych zarządzeń trzymali, od razu zostało skazane na likwidację, która poszła jednak systematycznie dalej. Gdy zostałem aresztowany 10 listopada 1942 r., to na Pawiaku, w celi, do której zostałem sprowadzony, spotkałem rektora politechniki, Drewnowskiego, rektora seminarium, ks. Archutowskiego, wielu ludzi wybitnych z inteligencji, cały mózg Polski. W maleńkiej celi było dwadzieścia osiem osób, z tych obecnie zostały przy życiu tylko cztery. Muszę powiedzieć, że w wyniku tej akcji, która tak się oficjalnie nazywała – *eine Aktion* [Akcja AB] – z Uniwersytetu Warszawskiego zginęło czterdzieści sześć procent profesorów. Niektóre wydziały, jak prawny, zostały prawie doszczętnie wytępione.

To jest ogólnie, ale chciałbym przytoczyć pewien drobny szczegół. Ksiądz rektor Archutowski miał na sobie szaty duchowne. To wystarczało, żeby go zmaltrretować i obić w okrutny sposób. Gdy został wrzucony do celi, współwięźniowie pragnęli wyrazić mu swoje współczucie i szacunek, zbliżali się do niego i zaczęli go uspokajać, niektórzy całowali po rękach itd. Wtedy otwierają się drzwi i strażnik więzienny, który pilnował, SS-man, wpadł do celi, zbił wszystkich, następnie kazał zerwać szaty duchowne księdzu rektorowi i ubrać w nie Żyda Bombla. Ubrał go w te szaty, postawił i wszystkim kazał skakać aż do wyzionęcia prawie ducha i całować Bombla po rękach. W ten sposób naigrawano się z elementarnych uczuć człowieka.

O ile chodzi o strawę, to dwa razy dziennie podawano brudną wodę, cuchnącą, ze zgniłą brukwią, w której od czasu [do czasu] pływały jakieś obrączki. Te obrączki powstawały z kartofli pociętych, rozpuściły się i zniknęły. To była jedyna strawa. W tych warunkach straciłem w ciągu dwunastu dni dziewięć kilogramów, każdy z nas stracił dziennie po trzy czwarte [kilograma ze] swojej wagi. Jeżeli niektórzy, jak ja osobiście, zawdzięczając swemu zdrowiu, mogli to wytrzymać, to innym więźniom działa się gorzej, bo pod koniec tego okresu przekształcili się w worki z wodą. Mianowicie wszystkie substancje, z których otrzymuje się wodę i rozprowadza na organizm [ważne?], zostały wypłukane. Mieliśmy ludzi wymizerowanych, z nabrzmiałymi dolnymi kończynami i workami pod oczyma, z kolosalną awitaminozą. Tylko ci, którzy przypadkowo trafili do szpitala, gdzie lekarze polscy starali się

ich odżywiać, dzielili się strawą, ci zostali uratowani. Gdyby nie pomoc Polskiego Czerwonego Krzyża i komitetu opieki nad więźniami, które to instytucje dodawały po jednym bochenku chleba, ta eksterminacja [inteligencji] skończyłaby się dużo wcześniej.

Oczywiście, że to są tylko, że tak powiem, łagodne fragmenty, które na razie nie dawały pożądaných efektów eksterminacyjnych. Na krótko przede mną jednak zginął, rozstrzelany, prof. Kopec, tak szybko, że o jakimś sądzie, a nawet o jakiegokolwiek procedurze nie mogło być mowy, prof. Zakrzewski i potem oczywiście i inni.

W celi, do której nas wtłoczono, było jeszcze inne udręczenie, a mianowicie tylko raz dziennie wyprowadzano więźniów, przy czym to wyprowadzanie odbywało się galopem, była tylko jedna miska do załatwiania się, na to czekało czterdzieści – pięćdziesiąt osób, potem galopem oczywiście wracano do celi. Niemcy krzyczeli *schneller, schneller*, ganiając więźniów w jedną i w drugą stronę i wtedy więźniowie otrzymywali razy.

To są tylko fragmenty, z jednej strony plany, z drugiej wykonanie tych planów.

Przewodniczący: Jaki był los kliniki dziecięcej?

Świadek: Ta klinika była scharakteryzowana przez prof. ...[brak nazwiska w maszynopisie] ... *eine Oaze, eine Perle*. Po paru miesiącach powiedziano, że tego rodzaju *Perle* nie może być dla polskich dzieci, że tego rodzaju *Perle* może być przeznaczona tylko dla niemieckich dzieci i klinika została przymusowo ewakuowana do szpitala żydowskiego Bersonów i Baumanów, klinika zaś [została] zabrana całkowicie na potrzeby dzieci niemieckich i volksdeutschów. Kiedy wróciliśmy, zastaliśmy same mury, wszystko zostało wywiezione. Do tego stopnia, że nawet szuflady z biurka zniknęły.

Jeżeli chodzi o to, co było kwintesencją kliniki, która jest zakładem naukowym, to polskie książki zostały spalone i wyrzucone na śmietnik, palono nimi w piecu, a [książki] w obcych językach wywieziono do Niemiec. Wszystkie aparaty, kosztowne urządzenia, laboratoria, wszystko to zginęło do takiego stopnia, że nawet dzisiaj jeszcze nie można rozpocząć badawczej pracy naukowej z braku najprymitywniejszych środków jak wagi itd. Ciekawe między nami było to, że oskarżony Fischer także zabierał wagę, a za jego przykładem zabierano wagi dla noworodków i za każdym razem, gdy ktoś przyjechał z Gubernatorstwa, wiedzieliśmy, że w którejś rodzinie zapanowała radość, że jakiś nowy obywatel Rzeszy Niemieckiej się urodził. To był ścisły zupełnie sygnał przyrostu ludności.

Przewodniczący: Czy pan widział osobiście oskarżonego Fischera?

Świadek: Nie.

Przewodniczący: Czy podano panu przyczynę aresztowania?

Świadek: Nie.

Przewodniczący: Był pan przesłuchiwany?

Świadek: Tak.

Przewodniczący: Jakie zarzuty panu stawiano?

Świadek: Coś bardzo nieokreślonego.

Przewodniczący: Czy kazano się tłumaczyć z jakiegoś przestępstwa?

Świadek: Nie.

Przewodniczący: A czy podano przyczyny, dla których został pan wywieziony następnie do obozu koncentracyjnego?

Świadek: Nie, absolutnie.

Przewodniczący: Nie ogłoszono żadnego wyroku?

Świadek: Nie, żadnego.

Przewodniczący: A towarzysze z celi? Czy stawiano im jakieś zarzuty? Ogłoszono wyrok?

Świadek: O wyroku nie było nigdy mowy, to nie było w zwyczajach. Absolutnie nikt z tej celi, z tych dwudziestu ośmiu [osób] nie został postawiony przed sądem.

Adwokat Śliwowski: Kiedy pan profesor zetknął się z dr. Schrempfem?

Świadek: Od razu, w parę godzin po kapitulacji.

Adwokat Śliwowski: To znaczy w październiku 1939 r.?

Świadek: Między kapitulacją a wkroczeniem wojsk niemieckich upłynęły, zdaje się, trzy dni porządkowe.

Adwokat Śliwowski: Czy panu nie jest wiadome, w jakim charakterze przybył wówczas do pana dr Schrempf?

Świadek: Jako *Distrikt Arzt*. Dlatego tak dokładnie pamiętam tę nomenklaturę, że musiałem prawie codziennie pisać korespondencję, stawiać raporty, przy tej sposobności adresować jako do *Distrokt Arzt*.

Adwokat Śliwowski: Czy ten *Distrikt Arzt*, jak to wydaje się wynikać z nomenklatury, zależał bezpośrednio od jakiejś instancji administracyjnej? Jakiej, miejskiej czy okręgowej?

Świadek: Z początku był w pałacu Brühla, a później w budynku miejskim.

Adwokat Węgliński: Czy słuszny będzie mój wniosek, jeżeli stwierdzę na podstawie wypowiedzi pana profesora, że Schrempf, jak to widać z jego tytułu, zależał od dystryktu?

Świadek: Ponieważ tytuł oficjalny był *Distrikt Arzt*, więc stąd wniosek logiczny dla mnie, że zależał od dystryktu.

Przewodniczący: Czy władze dystryktu interesowały się kwestią zaopatrzenia?

Świadek: Kwestia zaopatrzenia wyglądała bardzo skromnie. A zatem, jeżeli chodzi o kalorie, to otrzymywaliśmy tylko część potrzebnych kalorii. W każdym razie z tych obliczeń i badań, które były prowadzone przez specjalistę, profesora fizjologii, dr. Viewegera, rektora Wolnej Wszechnicy Polskiej, który wiele trudu na to poświęcał, wynikało, że liczba kalorii wynosiła około tysiąc osiemset zamiast dwa tysiące czterysta dla dorosłego. W tej proporcji, na wagę oczywiście, i dla dziecka to wypadało. Jeżeli przy tym zaopatrzeniu ludzie nie ginęli z głodu, to trzeba to zawdzięczać prywatnej inicjatywie, ofiarności społecznej oraz polskim władzom miejskim, które w każdy sposób starały się pomóc i, w drodze na owe stosunki mało legalnej, wprowadzić.

Prokurator Siewierski: W związku z ostatnią odpowiedzią świadka pragnę złożyć Najwyższemu Trybunałowi oficjalne wydawnictwo niemieckie z 1942 r., pt. *Wytyczne dla żywienia chorych* w GG. Co do treści tego wydawnictwa chciałbym złożyć tylko następującą, krótką uwagę: oczywiście, żywienie chorych w GG było uzależnione od przynależności do tego czy innego narodu, do tej czy innej rasy i wskazania lekarskie uwzględniały to, czy się [jest] Niemcem, czy nie. Wydawnictwo było z 1942 r., więc wówczas zagadnieniem szpitali,

przeznaczonych dla Żydów, w ogóle się nie interesowano, bo wtedy był już okres pełnej likwidacji żydowskich mieszkańców GG. Pragnąłbym w tym miejscu podnieść tylko, że na stronie ósmej jest szczegółowa tablica, jak należy żywić chorych Niemców w szpitalach, a na stronie trzydziestej pierwszej tablica, jak należy żywić chorych Polaków. Jasną jest rzeczą, że stawki dla Polaków są znacznie niższe aniżeli dla Niemców, a więc na przykład mięsa dla Niemców [jest] trzydzieści gramów, dla Polaków dwadzieścia gramów, mleka dla Niemców pół litra, dla Polaków 0,2 litra itd. Jasną jest rzeczą, że szczególnie ironicznie w tych warunkach brzmi pewne wskazanie lekarskie, które normalnie jest zrozumiałe, a przy zestawieniu z tymi porcjami brzmi jak ironia, że „chorym nie należy dawać zbyt wielkich porcji”. Dalej niezmiernie charakterystyczne dla traktowania pewnych szczególnych rodzajów chorych jest zdanie: „Zakłady dla obłąkanych, przytułki dla ociemniałych i kalek lub tym podobne nie są uważane za szpitale w myśl niniejszych wytycznych. Pacjentom i personelowi przysługują stawki nieniemieckich norm konsumpcyjnych”. Wynika z tego, że zakłady dla obłąkanych i przytułki dla ociemniałych i kalek nie były obdarzone nawet tymi minimalnymi uzupełniającymi racjami, co wszystkie pozostałe szpitale.

Oskarżony Fischer: Chciałbym się zapytać pana świadka, czy doszło do jego wiadomości, że po jego aresztowaniu ja interweniowałem w sprawie jego zwolnienia?

Świadek: Tak. Moja wnuczka, mała dziewczynka, miała wtedy zdaje się dziesięć lat, złożyła podanie i otrzymała na to odpowiedź z biura gubernatora, że akta są już przesłane do urzędu, który panu gubernatorowi nie podlega.

Oskarżony Fischer: Podjąłem się interwencji na podstawie innej sprawy. Ze strony polskiej proszono mnie, bym wstawił się za zwolnieniem pana profesora. Ja to uczyniłem bardzo energicznie wobec gestapo, a mianowicie u pana dr. Hahna osobiście. Jednakże ze strony gestapo otrzymałem informacje, że o zwolnieniu nie może być mowy, ponieważ pan profesor jest członkiem ruchu oporu.

Przewodniczący: Czy panu profesorowi wiadomo jest coś o tej interwencji?

Świadek: Nie, nic o tym nie wiem.

Z braku dalszych pytań sąd zwalnia świadka.